

Etnograficzne déjà vu

Czesław Robotycki

Wbrew tytułowi rzecz będzie o faktach a nie o przywidzeniach, nie będzie więc o etnografii nieprzeźroczystej, nostalgii, wspomnieniach i skrótach. Jednak to dziwne nieokreślone odczucie „ja już to kiedyś widziałem” posłuży mi do postawienia ostatecznej tezy, która w sposób niemożliwy rzeczywiście znajduje się w zamknięciu niniejszego tekstu.

Oto więc fakty i zdarzenia wielce zróżnicowane, ale wszystkie odnoszące się do znowu dyskutowanego problemu o miejscu kultury ludowej w całości kultury polskiej.

Przykład pierwszy.

Spotkanie w Ministerstwie Kultury i Sztuki, które odbyło się na takie zaproszenie:

*Pan/Pani
odpowiednie tytuły
adres*

W związku z przygotowaniem przez Ośrodek Dokumentacji i Informacji Etnograficznej PTL w ramach programu Ministerstwa Kultury i Sztuki „ochrona ginących zawodów” bazy danych dotyczącej szeroko pojętej wytwórczości ludowej, zapraszamy do wzięcia udziału w dyskusji panelowej, która odbędzie się dnia 30.03.1995 w gmachu MKiS...

Przedmiotem dyskusji pragniemy uczynić następujące zagadnienia:

- 1. Twórca. Kim jest obecnie twórca tzw. „ludowy”...*
- 2. Dzieło. Kryterium doboru wzorów (przedmiotów i zdobnicstwa...)*
- 3. Współczesne potrzeby związane z problematyką dziedzictwa kulturowego itd.*

Odpowiednie pieczęcie, daty i podpisy.

30 marca 1995 roku w gabinetach ministra Podkańskiego zebrała się więc grupa specjalistów z uniwersytetów, muzeów, CPLiA i ministerstwa z Warszawy, Krakowa, Łodzi, Katowic, Torunia, Zielonej Góry i Lublina zachęcona cytowanym wyżej pismem. Przyjęci kawa, herbata i ciasteczkami mieliśmy okazję zapoznać się z wiszącą na ścianie planszą: „Ginące zawody”. W wykazie przeczytałem, między innymi, sypanie wzorów z piasku, dłubanie w drewnie, plectenie z korzenia, ale też garncarstwo, kowalstwo, haft itd.

Kierująca dyskusją wprowadzając w zagadnienie podkreśliła, że zdaje sobie sprawę ze zmytyzowanego charakteru kultury ludowej, stwierdziła też, że mityzowania należy unikać, ale przecież giną zawody znane nam etnografom z czasów naszej młodości, ubywa wiejskich twórców i rzemieślników, pozostały zaledwie resztki kultury ludowej. Ale jest minister – ma pieniądze – będzie wspierał kulturę ludową, bo jest jej entuzjastą. Trzeba tylko odpowiednio mu doradzić, co należy chronić, komu pomagać.

Pobudzeni wprowadzeniem uczestnicy obrad zaczęli spontanicznie wspominać dobre czasy PRL. Przecież nie było wcale źle, kultura ludowa kwitła, iluż to twórców udało się uratować dzięki państwowej pomocy, stypendiom i opiece muzeów. Na wszystko były pieniądze. Panie wspominały legiony hafciarek i specjalistek od bibułkowych kwiatów, panowie garncarzy, kowali i rzeźbiarzy. Ileż dobrej roboty wykonała CPLiA – a teraz co? Wszystko ginie! Czyżby ta licytacja dawnych sukcesów i entuzjazmu pracy to efekt regularnej lektury felietonów Ludwika Stommy w „Polityce”. Nadszedł jednak

czas by przejść do rzeczy, przycichł gejzer nostalgii, wysłuchano merytorycznego wprowadzenia do dyskusji.

Niezależny specjalista, oryginalny w sądach, ekspresyjny w wypowiedziach, zastanawiał się nad istotą twórczości. Prawdziwą sztuką, według niego, jest umiejętność kładzenia klusek na wodzie. Rzecz nie jest prosta, najpierw trzeba umieć zrobić kluski – zgodnie z przepisem, następnie położyć je na wodzie. Ważna jest więc łyżka, kąt nachylenia, zanurzenie – ciągnął znawca sztuki. Jakże głęboka metafora – można by pomyśleć. Autor wielu prac o świadomości piękna miał zapewne na myśli „technę” – manualną sprawność a przepis to przekaz tradycji, zgodność z regułą. Natrętnie powracający w jego wypowiedzi wątek klusek kierował jednak w inną stronę: sztuką może być wszystko – nawet robienie klusek – nie można więc zdefiniować współczesnej sztuki ludowej – zostają kluski. Ale nie był to jedyny spożywczy wątek w wypowiedzi. Oto – znawca Kurpiów i Afryki – wnioskował z ilości i formy zjedzonych przez nas ciasteczek o ukrytych preferencjach odnoszących się do sztuki ludowej. Ponieważ nikt nie zjadł piernikowych serc, kojarzących się podobno z kulturą ludową, ergo, nie lubimy sztuki ludowej i mamy miejskie gusty, bo zjedliśmy wyroby „Wedla” (d. „22 Lipca”).

Po tej błyskotliwej improwizacji, sugerującej bezradność etnografa wobec skomplikowania współczesnego świata, kolejne wprowadzenie specjalistki od haftów wydawało się szkolne i odwołujące się do dawnych ustaleń. Niemniej jedno i drugie wystąpienie było podstawą dyskusji.

Głosy debatujących przechodząc ponad teżami panelistów krążyły wokół tego samego. Potrzebny jest państwowy mecenat, tylko dzięki temu będzie można podtrzymać kulturę ludową. Rzemieślników, już teraz nazywanych przez etnografów twórcami, trzeba zachęcić do pracy. Należy organizować więcej konkursów typu „mistrz i uczeń”, można w ten sposób przekazać tradycje rękodzieła. Rozpocząć można od uzupełnienia centralnej bazy informacyjnej – najlepiej przy MKiS. Przygotowana przez OIDE ankieta może być pierwszym narzędziem do gromadzenia danych.

Pomijając już fakt, że w ankiecie uwzględnia się też przypadek twórcy zmarłego, co ma zapewne sens, skoro dotyczy zawodów ginących, uważam, że pomysł ma swoje słabe punkty już na poziomie projektu.

Banalne stwierdzenie, że sztuka żyje w kontekstach i że te konteksty są współcześnie wielce zróżnicowane spowodowało nasze nieporozumienia w trakcie dyskusji. Okazało się, że nie wiemy po co nam te „kluski”. Metafora to czy kpina. W obu jednak rozumieniach mogą one nas przestrzec przed złudą etnograficznej rzeczywistości, jaką sami sobie kreujemy.

Przypomnijmy przecież, że od lat sztuka lub szerzej wytwórczość ludowa, nie służy ludowi. Zainteresowani są nimi etnografowie i kolekcjonerzy. Ikonosfera w kulturze potocznej i obiegi treści kultury tworzą melanż różnorodności, w której zaledwie częścią może być rzemieślniczo powielana twórczość ludowa. W nowej sytuacji estetycznej preferuje się dowolność, przekłada się siłę wyrazu ponad formę. Kultura jest wielowarstwowa, ironiczna, pełna cytatów i autointerpretacji. W bogactwie otaczających nas form rutynowo szuka się form znanych, a więc banalnych i stereotypowych. Oryginalność i autentyczność nie są w cenie potocznego gustu.

Sztuka ludowa przez ostatnie 50 lat jej promowania i ochrony

skostniała w kanonie, który określili dla niej etnografowie, entuzjaści i instruktorzy. Zamknięta w ramy tradycji i normy nieodwracalnie osiadła w muzeach. Współcześni „wytwórcy ludowi” są dobrze zorientowani w tej sytuacji. Znają przecież konteksty swojej twórczości, bo nie żyją w kulturowej izolacji. Potrafią więc tworzyć na konkursowe zamówienie etnograficzną fikcję lub atrakcyjny towar.

Złudę i fałsz autentyczności ginących zawodów pogłębia też i to, że nie uniknie się wpływu nowości technicznych. Przedstawiciele „ginących zawodów” z dużą wprawą posługują się nowoczesnymi narzędziami ułatwiającymi przygotowanie i obróbkę tworzywa. Wieloczynnościowe agregaty do obróbki drewna, wspaniałe dłuta, miesadła do gliny i szkliwa, piece elektryczne, maszyny, gotowe grunty malarskie, farby, werniksy w spray’u, kleje, wyposażenie ślusarskie, to tylko przykłady tego czym posługuje się współczesny przedstawiciel upadającego rzemiosła. Wie on dobrze, jak wyczelować ręcznie swój prosty, ludowy wytwór.

I rzecz kolejna: znowu powstanie centralny zarząd – tym razem ginących zawodów. Rozpocznie się krzątanie etnografów wokół list kwalifikacyjnych, powstanie odpowiednia komisja przyznająca stypendia. I to dobre samopoczucie. My daliśmy pieniądze, my ratujemy, znowu będziemy ważni i społecznie przydatni, robimy tyle dobrego – za pieniądze podatnika, jak to się dzisiaj mówi. Oczywiście, tych pieniędzy nie można dać gminom, tam na kulturze nikomu nie zależy, na pewno by je zmarnowali.

Przykład drugi

Oto programy dwóch konferencji: jedna odbyła się w 1995 roku w Krakowie, druga odbędzie się w maju 1996 w Bielsku-Białej. Mają one wspólny tytuł i według organizatorów spotkania opatrzone hasłem „Kontynuacja i zmiana w kulturze współczesnej wsi polskiej” powinny przekształcić się w wieloletni cykl. Niektóre tematy zapowiadane w programach zwracają uwagę znaną już retoryką nazywania problemów. Kilka z nich przytaczam tu tylko jako ilustrację bez jakichkolwiek innych zamiarów.

Program z roku 1995 zapowiada:

- „Przejawy religijności ludowej we współczesnej wsi podkarpackiej”.
- „Postawy mieszkańców wsi małopolskiej wobec środowiska naturalnego”.

- Miejsce i rola telewizji jako źródła informacji społeczności wiejskiej.

- „Przemiany kulturowe na Orawie w okresie transformacji ustrojowej”.

- „Obcy wśród swoich. Społeczne podłoże twórczości samorodnej”.

Program sesji z maja 1996 proponuje wśród innych następujące tematy:

- „Wybrane aspekty codzienności wsi bielskiej a proces zmian”

- „Przemiany społeczno-kulturalne na wsi podbeskidzkiej”

- „Studia etnologiczne a badanie funkcji tradycji na pograniczach kulturowych”

- „Zmiany uczestnictwa w kulturze wsi podbeskidzkiej (nowe tendencje 1993–1995)”

- „Ludowa muzyka instrumentalna Beskidu Śląskiego i Żywieckiego dawniej i dziś”

- „Przemiany tradycyjnego żywieckiego ośrodka zabawkarskiego”

Wybrane dwa programy sesji pojawiły się tu, bo to przykłady mi bliskie, jako że w ich organizowanie zaangażowany był i jest mój „macierzysty” Instytut Etnologii UJ. Ale to nie jedyne konferencje o takiej problematyce, które w ostatnich 3 latach odbyły się w Polsce. Sam uczestniczyłem w podobnych konferencjach w Poznaniu, Krakowie, Myślenicach, Mysłowicach i Tychach. O innych wiedziałem z zaproszeń i informacji pośrednich. Bez względu na ich lokalny lub ogólnopolski charakter, zakres rzeczowy konferencji obejmował problematykę tradycji, „małej ojczyzny”, pogranicza i zmiany kulturowej.

Swoista moda na wymienione tematy może wydawać się oczywista. Mieliliśmy bowiem przez pewien czas poczucie, że wszystko budujemy od nowa, ale okazało się, że są to, niestety, zbiorowe projekcje części elit społecznych, a nie rzeczywistość. Słusznie zwrócił uwagę Ryszard Kantor w jednym z pokonferencyjnych wydawnictw (*Ogród Spustoszony*, Kraków 1995), że dla środowisk prowincjonalnych rok 1989 nie okazał się czasem zmiany. Z tezy tej, wysnuwam pesymistyczny wniosek i to nie tylko co do perspektyw opisu kultury ludowej ale i także co do jej badaczy. Opieram go na następujących przesłankach.

W etnografii polskiej powstało już wielkie zbiorowe dzieło zawierające w tytule frazę: *...przemiany kultury ludowej*. W dziele tym nie postawiono jasno tezy w co zmienia się kultura ludowa, jaką przybiera formę. Wiadomo było, że rozpadała się chłopska kultura tradycyjna. Została ona w poszczególnych



Wojciech Oleksy, Paszyn, ok. 1970 r. Fot. A. Różycki

rozdziałach etnograficznej „summy”, traktowanej tu jako znak powszechnej wówczas tendencji, odpowiednio zrekonstruowana i zinterpretowana. Obraz po rozpadzie, czyli kultura środowisk wiejskich z lat Polski „ludowej” jest w „wielkiej syntezie” zarysowana mgławicowo. Czytelnik „syntezy”, współczesny i fachowy, ma podstawy do stwierdzenia, że świat PRL pozostał nie opisany, że kultura ludowa, ograniczona do jej wiejskich postaci, to resztki dawnej kultury chłopskiej zmieniające się w oczywistość racjonalizującej się kultury powszechnej, już przez etnografów nie zdefiniowanej.

Odpowiadały temu idee i praktyka ochrony kultury ludowej. Ważne w tym „postępowym nie wiadomo czym” były nurty plebejskie. Czego? Czasem sztuki, czasem fragment w obyczaju, czasem ginących zawodów lub folkloru. Dlaczego właśnie te? To zależało od aktualnego kontekstu i lokalnych preferencji oraz od wyobrażeń „administratorów kultury” wszystkich szczebli.

Gdy więc czytam hasła wywoławcze rozmaitych konferencyjnych referatów i znajduję w nich: „przejawy”, „przemiany”, „postawy wobec...”, „społeczne podłoże”, „funkcje tradycji”, „zmiany uczestnictwa”... itd., to mam prawo stwierdzić: ja to już kiedyś widziałem. Nie zmieni mojego przekonania rozszerzenie problematyki (mała ojczyzna, pogranicze), jeżeli wykładnia pozostaje ta sama co dawniej – służą jej tamte metody eksplikacji i dawny język.

Przykład trzeci

Są to tezy i propozycje Anny Tatariewicz zawarte w jej artykule zatytułowanym *Ku przemienionym kołodziejom* („Syrcyna” nr 6: 12.II.1995). Na tekst ten zwróciła moją uwagę prof. Bronisława Kopczyńska-Jaworska za co Jej niniejszym bardzo dziękuję.

Anna Tatariewicz proponuje: wyjedźmy na wieś. Na wieś, która dzięki skokowi cywilizacyjnemu może się zmienić. Załóżmy tam kluby inteligencji wiejskiej. Wieś to inny krajobraz – autorka pamięta go z dzieciństwa – to inne przeżywanie świata. A współcześnie nie trzeba się czuć oderwanym od życia w tzw. kulturze wyższej. Środki komunikacji na to pozwalają. Jest telewizja, wideo, kamera, komputery. Jak to zrobić? Po prostu. Skok cywilizacyjny opłacą wywodzący się ze wsi ludzie

dysponujący dużymi środkami finansowymi. Można też opodatkować się na ten cel. Programy w telewizji się zmieni, żeby nie były kiczowate, brutalne i złe. Trzeba tylko znaleźć [...] „ludzi utalentowanych, wrażliwych i rzetelnych, zdolnych do tworzenia kultury audiowizualnej na miarę rzeczywistych potrzeb ludzkich...”

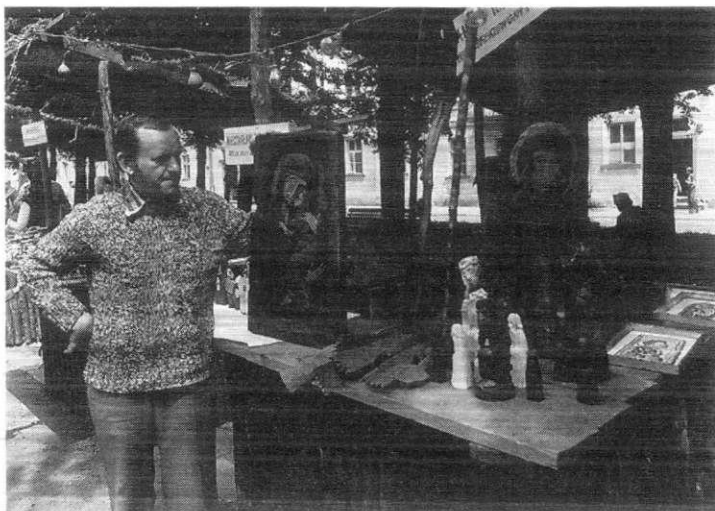
Po co to robić? Trzeba przeciwstawić się miastu. Ono ma kainową genealogię. Jest molochem. Zabija. Miasto odnosi się do wsi z lekceważeniem, nie rozumie jej. Nowe możliwości komunikacyjne, stanowią argumenty za powrotem na wieś, lub pozostaniem na niej.

W zakończeniu autorka stwierdza: „... Oczywiście można uznać, że moje rozumowanie to naiwne dywagacje utopistki. Ale w takim razie kim był Norwid ze swą wizją Polski przemienionych kołodziejów? Czy jego także uznamy za naiwnego utopistę?”

No właśnie, gdzie są Norwidowi kołodzieje? Nie w tę stronę podryfował – bo przecież nie poszedł – naród, jak chciał tego poeta.

Przytoczone trzy różne i wrywkowe przykłady są funkcją zdarzeń, które nam współczesnym przypadło obserwować w kulturze. Zbiór tych zdarzeń oznacza kres, nieodwracalny koniec kultury ludowej, w wersji jaką przez dziesiątki lat obserwowaliśmy, opisywali i po części swoimi dobrymi intencjami wykreowali. I kwestia transformacji systemowej nie ma tu znaczenia, nie ona zadecydowała o zmianie. Proces zaniku resztek dawnych sekwencji kultury trwał długo i oto dokonał się. Gdy to sobie uświadamiamy, przyprawia nas to o przykre uczucie, że nie udało się zatrzymać tego co okazało się nieuchronne. Ciągłe trwamy w przekonaniu, że mamy wpływ na otoczenie zewnętrzne tak kulturowe jak i przyrodnicze.

Oczywiście, nic nie kończy się ostatecznie. Już zaczynamy mówić o nowej, innej kulturze ludowej, inaczej zorganizowanej strukturalnie, o innych odniesieniach do świata wartości i innym korelacie materialnym. Zrozumiałe jest, że wobec tego jeszcze nierozpoznanego świata kultury stosujemy dawne miary, modele i klisze. Nie wiadomo czego bronimy. Dawnych wartości, czy własnych przyzwyczajęń. I wówczas, przy narzucaniu siatki naszych utartych pojęć na samokreującą się rzeczywistość, w części powstającą z byłych elementów, doznajemy dziwnego uczucia etnograficznego *déjà vu*.



Antoni Toborowicz z Woli Lubartowskiej na Jarmarku Płockim, 1980 r.
Fot. W. Burzawa